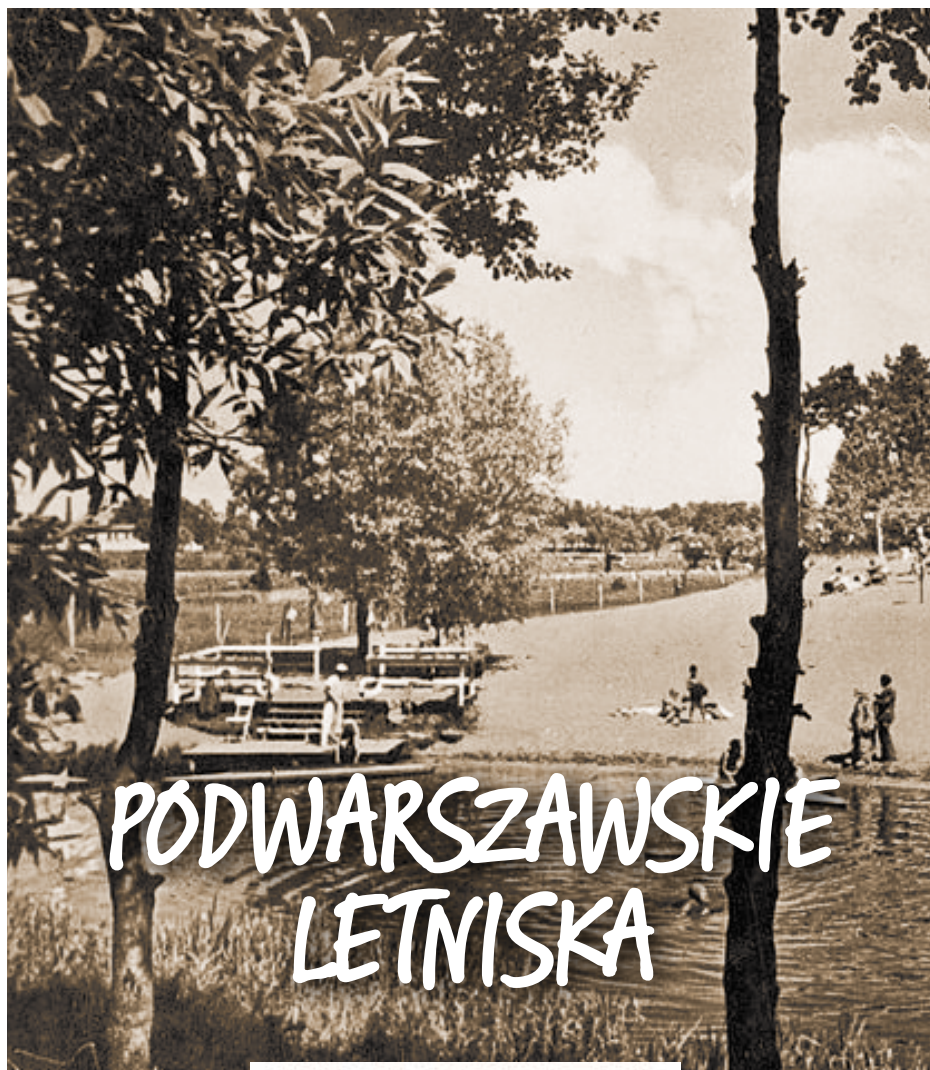


ZNAD JEZIORKI MINIATURY HISTORYCZNE



PODWARSZAWSKIE LETNISKA


HISTORIE OPowiedziane
HISTORIE WYsłuchane

ZNAD JEZIORKI MINIATURY HISTORYCZNE

NR 6

Wszelkie uwagi, sprostowania i uzupełnienia będą mile widziane

Tekst za: *Dawna Warszawa. Wspomnienia*, Warszawa 1959 (s.458-459);
Jeszcze o dawnej Warszawie, Warszawa 1960 (s.166-174).

Ilustracje ze zbiorów: W. Rawskiego, „Dawna Warszawa Jadwigi Dmochowskiej” ,
pol.wikipedia.org

Copyright © „Znad Jeziorki. Miniatury Historyczne”, Skolimów 2019
Kontakt: rawski@adres.pl

Jadwiga Waydel Dmochowska

PODWARSZAWSKIE LETNISKA

SKOLIMÓW 1915

W 1915 r. Komitet Opieki nad Jeńcami w Warszawie zaczął organizować przedstawienie teatralne.

Przedstawienie projektowano na drugą połowę maja — początek miesiąca był poświęcony na pierwszą oficjalną zbiórkę na „Macierz Szkolną”, która dała imponujące rezultaty. Tymczasem front rosyjski, jak się wówczas dyskretnie mówiło — „skracał się” coraz bardziej, klęska następowała za klęską. Nie pomogło przystąpienie Włoch do wojny po stronie aliantów, przeciwko niedawnym sojusznikom, co Warszawa przyjęła z entuzjazmem; tłumy demon-



Jadwiga Waydel Dmochowska w swoim warszawskim mieszkaniu, 1958 r.

strowały przed mieszkaniem konsula włoskiego, Andrzeja Rotwanda, przy ulicy Królewskiej, obok gmachu Giełdy.

Ówczesny gubernator warszawski, Lubinow, choć jak mógł, zabiegał o względy Polaków, cofnął w tych warunkach pozwolenie na efektowny finał Dnia Jeńca. Tłumaczył się przed zarządkiem Komitetu, że przedstawienie, które stałoby się niewątpliwie „clou” sezonu wiosen-



Widok na willę „Zagłobin” rodziny Seydlów w Skolimowie, 1913 r.

nego, nie może być przeznaczone na podobny cel: jeńcy to bądź co bądź żołnierze wrogich armii, zadających cios za ciosem orężowi rosyjskiemu; mogło to wywołać rozgoryczenie wśród wojsk stacjonujących w Warszawie.

Trzeba było poniechać pięknego zamiaru. Bezstronność nakazywała przyznać pewną rację gubernatorowi; słowom jego akompaniowały zresztą coraz wyraźniejsze, chociaż jeszcze głuche, odgłosy strzałów armatnich. Pocieszano nas, że to grają działa japońskie niezwyklej siły, przybyłe świeżo na odsiecz Warszawie.

Wiadomość o odwołaniu przedstawienia przyjąłam dość filozoficznie, byłam bowiem pochłonięta sprawami innej natury: siostra moja urodziła syna Zygmunta, a taka była nasza naiwność czy beztroska, że w parę tygodni potem, pomimo coraz poważniejszej sytuacji na tak bliskim froncie, wyjechałyśmy obie dosłownie „całym dworem”, bo z boną, nianią, kucharką, z rondlami, pościelą i porcelaną (tak się wtedy jeździło na lotnisko), do Skolimowa, gdzie huk armat nie milkł dniem i nocą.

Zamieszkałyśmy wówczas w willi jednego z najdawniejszych klientów mojego ojca, Hugona Seidla [Seydla], konsula serbskiego, który wyjeżdżając zawczasu z Warszawy oddał mu ją do dyspozycji. Za weraundę służyła przewieziona z Warszawy słynna „Patelnia”, czyli zbudowany z krat żelaznych i szkła taras kawiarni mieszczącej się niegdyś na rogu Alei Róż i Alei Ujazdowskich.

W lipcu nie ulegało już wątpliwości, że Warszawa będzie oddana. Odbывała się stopniowo ewakuacja władz wojskowych i cywilnych, wyjeżdżały rodziny rosyjskie od dawna zamieszkałe w Warszawie. Wyjeżdżało też wielu Polaków w ten czy inny sposób związanych z Rosją: przez urząd, względy materialne, względy rodzinne lub polityczne.

LETNISKA

W dzieciństwie obijało mi się nieraz o uszy: „Dawniej wyjeżdżało się latem na Koszyki”. Tej epoki oczywiście nie pamiętam, ale mam na przykład mgliste wspomnienie wynajętego jako letnisko pałacyku na Wierzbnie. Dojeżdżało się tam kolejką wilanowską (pierwsza stacja za Belwederem), wynajętym z remizy powozem bądź po prostu dorożką.

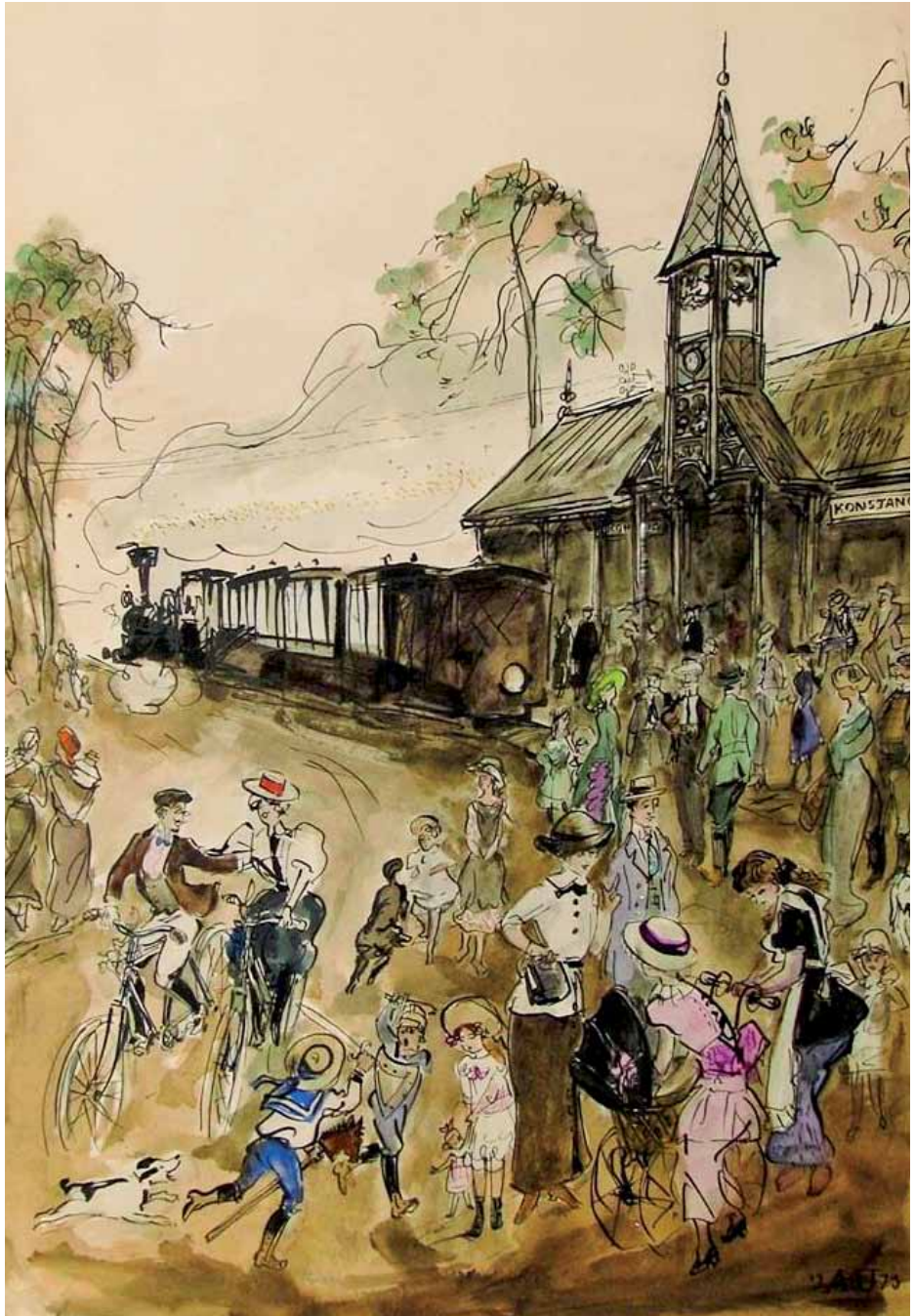
Słyszałam o letnisku w Marcelinie, gdzie mieściła się także słynna ongiś restauracja nocna; Zapolska opisała barwnie tę mieszaninę sielskiego prymitywu, podmiejskich mętów i filisterskiej pretensjonalności. Wiedziałam, że jest letnisko w Czerniakowie, że są one rozsypane wzdłuż całej linii tej zbudowanej przez belgijskie konsorcjum kolejki z nieprawdziwego zdarzenia. Aż do Wilanowa włącznie można było wynajmować mieszkania na lato, często po prostu u okolicznych gospodarzy.

Na prawym brzegu Wisły ciągnęły się miejscowości letniskowe, poczynając od Wawra i Anina, gdzie sięgały jeszcze wilanowskie lasy. Gdy w Warszawie wozy elektryczne położyły kres starym konnym tramwajom, kursowały one, zaprzężone w jednego konika, po ułożonych *ad hoc* szynach z Anina do Kaczego Dołu. Była naprawdę taka wieś i dość uczęszczane letnisko; zdaje się, że na skutek nieustannych dowcipów na ten temat, między innymi ochrzczenia biednego Kaczego Dołu „Troville-Canard” wystąpiono o „zmianę nazwiska” i uzyskano na to zgodę władz (obecnie Międzyzylesie). Dalej pas ten sięgał przez Radość, Faleńcę i Otwock aż po Świder. Otwock, objęty jakąś wyjątkowo sprzyjającą strefą klimatyczną, odstraszał jednak wiele osób znacznym skupieniem chorych na płuca, jak się wówczas mówiło, „suchotników”, natomiast Świder wolny był już od tego odium. Miał ponadto wielką atrakcję dla dzieci: krętą, lecz płytką rzeczkę tej samej nazwy, gdzie mogły brodzić i bawić się w piasku — plażowano wówczas tylko nad morzem — oraz lasy mieszane, liściasto-iglaste.

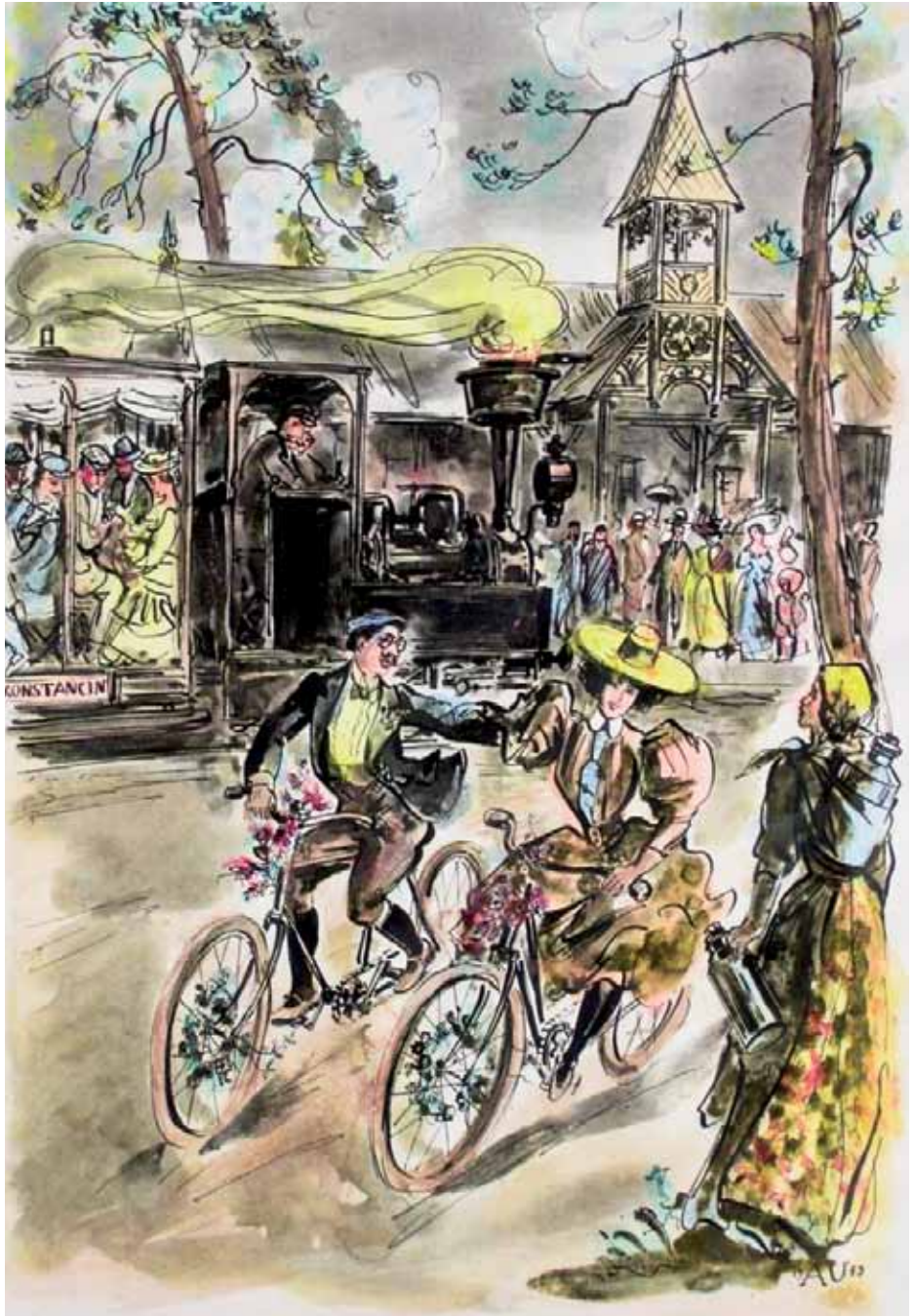
Budowano tam wille otoczone dużymi ogrodami, jak na przykład willa Wedla. Niestety wille te szpecił jakiś szczególny styl: wycinane w wymyślne wzory drewniane ganeczki i werandy, od których przez długie lata letniska podwarszawskie nie mogły się wyzwolić. Coś niby tureckie „moucharabie” w nadwiślańskim ujęciu.

Takie miejscowości jak Michalin, Józefów, Sródborów były jeszcze białymi miejscami na mapie.

Dojazd był dogodny, zarówno kolejką wąskotorową Jabłonna-Wawer, bliską krewną wilanowskiej, z czasem przedłużoną do Karczewia, a odchodzącą z tak zwanego „dworca” pod mostem Kierbedzia, jak i szerokotorową kolejką nadwiślańską.



Ilustracja Antoniego Uniechowskiego, Stacja w Konstancinie, 1975 r.



Ilustracja Antoniego Uniechowskiego, Kolejka wilanowska, 1953 r.

Dużą frekwencją cieszyła się również druga stacja krańcowa na tej linii — Jabłonna, własność tak popularnego w Warszawie Augusta Ptockiego (Gucia), chociaż niektórzy twierdzili, że to miejscowość wilgotna. Miała przy tym tę ujemną stronę, że droga wiodła tam przez Pelcowiznę, najbrzydsze chyba ze wszystkich i tak niepięknych przedmieść Warszawy.

Na linii terespolskiej leżał Rembertów — uczęszczany głównie przez rodziny wojskowych Rosjan, ze względu na znajdujący się w pobliżu poligon artyleryjski — oraz Wołomin.

Sulejówkę, Wola Grzybowska? O tym jeszcze nikt nie słyszał.

Ze stacji Ceglów na tej linii dojeżdżało się do Rudki, gdzie wśród lasów wzniesiono sanatorium dla chorych na płuca. Były tam też domki wynajmowane przez osoby wątłe, lecz nie kwalifikujące się do leczenia sanatoryjnego.

Dość liczne były letniska wzdłuż linii warszawsko-wiedeńskiej: Włochy, Milanówek, Ruda Guzowska, Wilhelmów (obecna Podkowa Leśna) z dojazdem do stacji Brwinów, a dalej tak zwanymi „omnibusami”. Zwykle wozy, dwie ławki wzdłuż drabin, półokrągła płócienna buda chroniąca od kurzu i deszczu. Kolejka elektryczna to muzyka przyszłości.

Oprócz pociągów dalekobieżnych odchodziło z Dworca Warszawsko-Wiedeńskiego, a więc z samego centrum miasta, zwłaszcza latem, mnóstwo pociągów miejscowych. Do tego celu służyły wagony najstarszego typu, podobne do tych, jakie widywaliśmy na pierwszych filmach: każdy przedział otwierany na dwie strony. Wagony pulmanowskie z korytarzami rezerwowane były dla pociągów pośpiesznych, czyli „kurierów”.

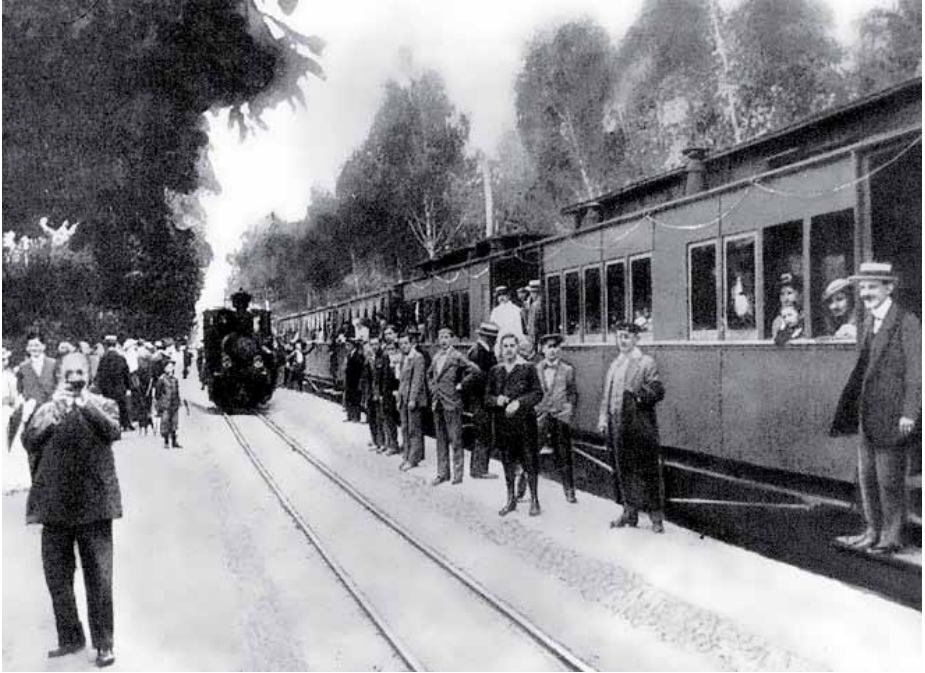
Przy kolejce wilanowskiej, przedłużonej z czasem aż do Piaseczna, leżał Powsin, Jeziorna, Klarysew, Skolimów. W końcu 1900 roku związane zostało towarzystwo akcyjne w celu urządzenia i eksploatacji nowego letniska na tej linii — Konstancina. Ogłoszenia brzmiały bardzo atrakcyjnie: kanalizacja, wodociągi, światło elektryczne, lawn-tennis [tenis na korcie trawiastym], łazienki na rzece. Co to znaczy? Były to budki na palach, bez podłogi, do których z łądu wiodła kładka. Nikt się wtedy nie kąpał „w samej rzece”. Wewnątrz budki, dokoła ścian, biegła ławka służąca za rozbieralnię, pod nogami — rzeka. Otóż nawet w tak kameralnych warunkach kąpano się w kostiumach kąpielowych, a już

co najmniej w koszulach, które woda wydymała jak balony. Trzeba było podskakiwać, przysiąść, zanurzać się, „tylko nie za długo”. Naturalnie czasem dawało się nurka, a już z reguły puszczało się „bulki” ustami, żeby urozmaicić trochę ten mało zabawny obrządek.

Czy przypisać to należy energicznemu i sprężystemu zarządowi Towarzystwa Akcyjnego, czy naprawdę wyjątkowo zdrowotnemu klimatowi (ludzie tracili tu po pewnym czasie uparte stany podgorączkowe, potocznie zwane „kreskami”, może sięgał tu jakiś rąbek pasa klimatycznego, z którego słynął Otwock), dość że w przeciągu kilku lat Konstancin pobił wszystkie letniska podwarszawskie.

Stańto tam mnóstwo solidnych, ładnych will urządzonych z nowoczesnym komfortem, otoczonych pieczołowicie utrzymanymi ogrodami. Takich róż, takich begonii bulwiastych jak w Konstancinie szukać ze świecą. Wszystko tu było jakieś „drogie, nowe” jak w piosence Karłowicza. I ogrodzenia, przeważnie siatki na podmurówce, a za nimi strzyżone żywopłoty, i żwirowane chodniki, i doskonale utrzymana, chyba smołowana szosa, i widoczna z daleka wieża ciśnień, i park, i „Kasyno” w modnym wówczas stylu chińskiej pagody z werandami, doskonałą restauracją i kwartetem Karasińskiego.

Na kilka lat przed pierwszą wojną światową od maja do września Konstancin stawał się ulubionym miejscem niedzielnych wycieczek warszawiaków. Mała stacyjka tak zwanej potem „ciuchci” (wtedy nikt jej tak nie nazywał, mówiło się: kolejka, a o lokomotywie: „samowarek”), tuż obok budynku rogatki miejskiej na obecnym placu Unii, w niedzielę o godzinie jedenastej czterdzieści przed południem przedstawiała widok jedyny w swoim rodzaju. Otoczenie więcej niż skromne, kolejka rozbrajająco naiwna, natomiast charakter publiczności wielkomiejski, a humor i werwa specyficznie warszawskie. Wszyscy się znali, choćby z widzenia. Jedni jechali do rodzin, ci obarczeni byli cięższymi pakunkami, często koszami owoców, bo zawsze ich brak było na letniskach; inni — do znajomych na obiad, ci wieźli sakramentalne pudełka cukierków, czasem paczki ciastek, jeszcze inni jechali po prostu na raki, kurczęta i szparagi do „Kasyna”, które robiło poważną konkurencję tak popularnej restauracji w Wilanowie. „Sielanka” nie obawiała się konkurencji — tam się w dzień nie jeździło. Park w Konstancinie przyciągał jednakże publiczność nie tylko uciechami podniebienia, czekały ich tam



Stacja kolejki wilanowskiej w Konstancinie, lato 1916 r.

w maju gęste krzaki bżów, białe i fioletowe kiście, upajające najcudniejszym tchnieniem wiosny — ku wieczorowi rozdzwonił takim chórem słowików, że milkł zasłuchany kwartet Karasińskiego.

Pociąg zajeżdżał na obrośniętą winem stację Konstancin około pierwszej po południu — prowadziła tam specjalnie dobudowana odnoga. Tu znów tłum oczekujących na przyjazd niedzielnych gości. Powitania, radosne okrzyki, panie w jasnych toaletach, panowie w canotierach [kapelusz] z kwiatem w butonierce. Nastrój świąteczny, beztroski. Z kortów tenisowych dolatują głosy grających: „*play*”, „*ready*”, „*game*”. Tenis był jeszcze pewną nowością, liczyło się po angielsku. Wreszcie set. Czas na obiad.

A wyjazd ostatnim pociągiem do Warszawy... Znów tłumy odprowadzających, ustalenie następnego przyjazdu, emocje, czy będzie miejsce, i powrót do domu tych, co pozostają, którym nagle smutno po całodziennym gwarze, wśród przemijających kolejno zapachów i odgłosów wiosny i lata: bżów, akacji i lip, słowików, świerszczy, pszczoł ciężkich od miodu... To nic. Za tydzień znów niedziela.



Konstancin, plaża

Moja matka unikała podmiejskich letnisk. Jeżeli nie wyjeżdżaliśmy całą rodziną za granicę, szukała zawsze miejscowości odleglejszych, mniej uczęszczanych.

Należą do nich — w okresie „legendarnym”, znanym mi tylko z opowiadań — dwa sezony letnie spędzone w Tokarach pod Płockiem, gdzie zaczęłam chodzić i mówić.

Pewnego lata wynajmowaliśmy domek w Feliksowie, majątku donacyjnym jakiegoś rosyjskiego generała. Był tam duży las, w nim zaledwie kilka domków. Z daleka poprzez gałęzie drzew widać było rezydencję w pięknym parku; była tam rzeka, dopływ Bugu, a na niej drewniane łaźienki, krokiet, huśtawka, kołobieg, na którym wlatywało się aż pod samo niebo. W pogodne dni w lecie rozwieszano hamaki — nieodzowny wówczas rekwizyt każdego letniska — spoczywały w nich panie w powiewnych, przybranych falbankami i koronkami szlafrokach. Nad nimi rozpięte parasolki. Nie starano się wtedy opalać, przeciwnie. Śmieszne były te parasolki, woale, woalki, rękawiczki, ale czyż o tyle śmieszniejsze i mniej estetyczne od dzisiejszego opalania się ze wszystkimi ak-

cesoriami kremów pachnących masłem kakaowym, olejków, okularów podobnych do masek karnawałowych, listków na nosie, wystawianiem na pokaz nieraz zapierających dech kształtów, czasem min męczennic, cierpiących za miliony, po to tylko, żeby po powrocie do miasta usłyszeć: ach, jaka pani opalona! Nic nie ma jednak nowego pod słońcem, i tym, co opala, i tym, co nie opala: piękne kobiety były i są piękne. Mądre umiały i umieją znaleźć złoty środek.

Właściciel przyjeżdżał rzadko do Feliksowa, ale kiedy gościł w swej rezydencji, do zwykłych sylwetek letników przybywały nowe, trochę egzotyczne postacie. Czasem przemknęła biała bluza dieńszczyka [tak oficerowie rosyjscy określają swoich służących], czasem rozłożysta postać kuczera [woźnica] w watowanym, suto namarszczonym płaszczu, pomimo upału.

Prawdziwa rosyjska dacza. Kiedy tłumaczyłam niedawno Wspomnienia Panajewa i opisy wypraw autora z Hercenem i Ketcherem do przyjaciół zamieszkałych na letniskach w majątkach różnych książąt Jusupowych i innych, stawał mi jak żywy przed oczami Feliksów.

Najekonomicznym sposobem spędzenia wakacji dla liczniejszej rodziny było przeniesienie się na letnisko „całym dworem”, ze służbą, pościelą, rondlami i dość Wówczas bogato rozbudowanym sprzętem gospodarczym: balia, wyżymaczka, mosiężna miednica do smażenia konfitur, stolnica, samowar, maszynka do lodów, maszynka spirytusowa, czasem klatka z kanarkiem. Transport tych wszystkich trudnych do opakowania przedmiotów do okolic podmiejskich odbywał się zazwyczaj końmi. Byli tacy specjaliści w każdym kierunku, czy „na Brwinów”, czy „na Otwock”, czy „na Piaseczno”. Do dalszych miejscowości wysyłało się tę przesyłkę drobnicową „wolnym frachtem”, który zwykle się spóźniał i pierwsze dni po przyjeździe po prostu się koczowało. Kanarek w takich razach odbywał podróż pociągiem osobowym.

Przez parę dni przed wyjazdem nawet w najlepiej zorganizowanych domach panowała „zarwańska ulica”. Wyciągało się z kątów różne graty, owijało, pakowało. Pościel zwykle zaszywano w sienniki, które tam na miejscu napcha się słomą (nie mogłam nigdy zrozumieć, dlaczego siennik napycha się słomą, a nie sianem), będą na nich spały dzieci. Dla starszych zabierało się materace. Te i niektóre cenniejsze przed-

mioty pakowało się w rogoże [maty]. Tak w pierwszym, jak w drugim wypadku do zaszywania używało się tak zwanej „iglicy”, a raczej szydła i lnianych albo konopianych nici „swojej roboty”, to znaczy po prostu w domu przędzonych. Iglica zwykle gdzieś się zawieruszyła, ale znajdowało się ją najczęściej w szufladzie kuchennej, pod zmienianym na każde święta papierem, nici zaś w kufrze niani albo kucharki.

Rodzinie towarzyszyła na letnisko zazwyczaj kucharka i młodsza, a już co najmniej jedna siła. „Głowa domu” bądź dojeżdżał co dzień po południu, o ile komunikacja była dogodna, bądź raz na tydzień w sobotę, a przez pozostałe dni stołował się na mieście. Jadąc z Warszawy bywał zawsze obładowany mnóstwem paczek i paczuszek, wracając — długą listą sprawunków (bo tu nic dostać nie można) wręczoną przez żonę i sąsiadki, nie pomijające żadnej „okazji do miasta”.

Apropozycja była łatwa i tania. Znalazła się zawsze jakaś „kobieta, żona człowieka”, jak ją nazwał Tuwim, która przynosiła mleko, masło, jajka, kurczęta. Razowca, prawdziwego razowca z grubo mielonej mąki było w bród. Bułki kupowało się w najbliższym miasteczku, często żydowskie „chałki” posypane czarnuszką (wiadomo, że przy wypiekanii ich przestrzegana była rytualna czystość), albo przywoził je cierpliwie ojciec.

Na niedzielę przyjeżdżało zwykle moc gości z Warszawy.

Z czasem wymagania się zwiększyły. Wiele osób z tak zwanych „wolnych zawodów”, lekarzy, adwokatów, rejentów, nabywało albo budowało własne wille w miejscowościach podmiejskich. Tak powstał Konstancin, który z czasem upodobała sobie warszawska finansjera, Skolimów, Milanówek i wiele innych miejscowości.

Bardzo popularnym, choć nieco odległym letniskiem były Sopoty. Wyprawy tam odbywały się inaczej, gdyż „tubyłcy”, czerpiący duże zyski z przyjezdnych, wynajmowali mieszkania umeblowane, z pościelą, kompletnym urządzeniem kuchni i porcelaną. Jechało się tam z mniejszym ładunkiem niż na letniska podmiejskie, choć i tak dość okazałym, ale zasada „prowadzenia domu” była utrzymana.

Z biegiem lat dopiero zaczęły wchodzić w modę pensjonaty różnego typu, ale to już oddzielna sprawa.



**JADWIGA DMOCHOWSKA
Z DOMU WAYDEL**

urodziła się 31 stycznia 1893 r. w Warszawie.

Była córką znanego adwokata i działacza postępowego Emila Waydla (1862–1927) i jego żony Wandy Lubińskiej z voto Józefowej Pankiewiczowej. Po rozwodzie rodziców, wychowywana była przez ojca. Spędziła dzieciństwo i młodość w Warszawie. Po wyjściu za mąż za ziemianina Stefana Dmochowskiego (kuzyna Henryka Sienkiewicza), w okresie międzywojennym mieszkała we dworze w miejscowości Burzec na ziemi łukowskiej. Przeżyła w stolicy Powstanie Warszawskie, a po wojnie zajmowała się zawodowo tłumaczeniami z literatury obcej. Znała kilka języków obcych, tłumaczyła m. in. z rosyjskiego, angielskiego, francuskiego i niemieckiego.

Autorka wspomnień *Dawna Warszawa*, wydanych w 1958 oraz *Jeszcze o dawnej Warszawie*, wydanych w 1960.

Zmarła w Warszawie 5 kwietnia 1962 r. i została pochowana na warszawskim cmentarzu ewangelicko-reformowanym w grobie rodzinnym.



**Grób Jadwigi Dmochowskiej
na cmentarzu reformowanym
przy ul. Żytniej w Warszawie**

ZNAD JEZIORKI MINIATURY HISTORYCZNE

TWORZONE SĄ NA BAZIE BLOGA
MINIATURYHISTORYCZNE.BLOGSPOT.COM

- Miniatury historyczne poświęcone są terenom leżącym nad rzeką Jeziorką i w jej okolicy. O ludziach i wydarzeniach. Sprawy błahe i poważne. Odległe i niedawne. Smutne i wesołe. Ot takie jakie było tutaj życie.
- Uzupełnieniem do miniatur historycznych jest „Biblioteczka skolimowska”, w której ukazują się publikacje dotyczące ważnych wydarzeń związanych z terenami na południe od Warszawy.

HISTORIE OPOWIEDZIANE

- **HISTORIE WYSŁUCHANE** W ramach miniatur ukazuje się pod tym podtytułem seria wspomnień dotyczących terenów leżących nad Jeziorką.

UKAZAŁY SIĘ W 2018 ROKU:

nr 1: J. Chlistunow i H. Cieszkowska DOM ZWYCZAJNY-NIEZWYCZAJNY

nr 2: W. Zemło SZPITAL POŁOWY W SKOLIMOWIE W 1939 R.

nr 3: W. Rawski FRANCISZEK NEMECZEK - MISTRZ PAPIERNICZY Z JEZIORNY

nr 4: W. Rawski ŻOŁNIERZE NIEPODLEGŁEJ

nr 5: NIEBYWAŁA KATASTROFA KOLEJKI WILANOWSKIEJ (opr. W. Rawski)